

Krystyna i Ryszard Kornaccy

CZARNA RÓŻA

Baśnie
i opowieści
z Podlasia



KRYSTYNA i RYSZARD KORNACCY

CZARNA RÓŻA

BAŚNIE I OPOWIEŚCI Z PODLASIA



Biała Podlaska 1993

**Autorzy książki składają serdeczne podziękowania
instytucjom i osobom prywatnym za pomoc finansową
w wydaniu niniejszej pozycji:**

Urząd Wojewódzki w Białej Podlaskiej
Wydział Spraw Społecznych

Kurator Oświaty w Białej Podlaskiej

Burmistrz Miasta Młędzyczka Podlaskiego

Katolickie Radio Podlasia w Siedlcach

Maria i Romuald Jasiukowie

Anna Kamińska

Beata i Rafał Kornaccy

Ks. prałat Kazimierz Korszniewicz

Andrzej Soroka

Franciszek Jerzy Stefaniuk



Naszym **DZIECIOM i WNUKOM**
z życzeniami,
by jeszcze raz znalazły się
w baśniach, gdyż one odwołują się
do pragnienia ludu.

W zaprezentowanym zbiorze basni i opowiadań znajdziecie utwory zapożyczone z bezpośrednich przekładów ustnych mieszkańców wsi i osiedli: Alimłuo Misie, Ostrowka Głuch, Waw, Słone, Mał, i Będzios. Zbiór z opracowań międzyrzeskiego nauczyciela Witolda Prackiego, zamieszczonych w latach 1903-1905 w

Naszym **DZIECIOM** i **WNUKOM**
z życzeniami,
by jeszcze raz znalazły się
w zaczarowanym świecie baśni.

Wydawca:
REGIONALNY OŚRODEK KULTURY
W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Autor ilustracji i okładki:
PIOTR WELK

Redaktor:
DANUTA BOŁTOWICZ

Redaktor techniczny:
CZESŁAW ZUBEK

Korekta:
MARIA PIETRUCZUK

© Copyright 1993 Krystyna i Ryszard Kornaccy

Beata i Rafał Kornaccy

Ks. prof. dr hab. Kazimierz Korczyński

Andrzej Soroka

Franciszek Jerzy Stolarczyk

REGIONALIA



109630

821.162.1-3

XIV B.2

Druk:
DRUKARNIA REGIONALNEGO OŚRODKA KULTURY
W BIAŁEJ PODLASKIEJ ZAM. 216/93 NAKŁ. 2000 + 25

Drodzy Czytelnicy!

Oddajemy Wam do rąk niewielki zbiorek baśni i legend związanych z Podlasiem, w szczególności zaś z Międzyrzecem Podlaskim i jego okolicami.

Na wstępie zacytujemy piękne i pouczające zdania wypowiedziane przez profesora psychologii i psychiatrii Bruno Bettelheima, który w książce pt. **O znaczeniach i wartościach baśni** (PWN, Warszawa 1985) stwierdza:

"Baśń to elementarz, z którego dziecko uczy się czytać we własnym umyśle, elementarz napisany w języku obrazów. Jest to jedyny język, dzięki któremu możemy rozumieć siebie i innych, zanim dojrzejemy intelektualnie".

W innym miejscu mówi:

"Osobom dorosłym, które w dzieciństwie pozbawione były możliwości obcowania ze światem baśniowej wyobraźni lub też stłumiły związane z tym wspomnienia - baśnie wydawać się mogą bezsensowne, dziwaczne, straszne i całkowicie nieprawdopodobne. Dziecku i dorosłemu, który, jak Sokrates, wie, że dziecięcość trwa w najmądrzejszej części naszego "ja", baśnie odślaniają wielkie prawdy o nim samym i o ludzkości".

Sami możecie więc zauważyć, jak wielką rolę przypisuje się baśniom. I nie ma chyba wśród nas człowieka, który nie lubi ich czytać. Obcujemy z nimi już od wczesnego dzieciństwa. Pozwalają one uciec od rzeczywistości często surowej, okrutnej, by potem zaprowadzić do krainy wiecznej szczęśliwości.

W tym wytęsknionym świecie rządzą prości, zwyczajni ludzie, prawo głosu mają ułomni i pokrzywdzeni przez los. Tak często - niestety - dzieje się tylko w baśniach, gdyż one odzwierciedlają ukryte marzenia i pragnienia ludu.

W zaprezentowanym zestawie baśni i opowieści znajdziecie utwory zapisane z bezpośrednich przekazów ustnych mieszkańców podlaskich wsi (Turów, Misie, Ostrówki, Olszewnica, Grabowiec i innych) oraz z opracowań międzyrzeckiego nadleśniczego Witolda Prackiego, zamieszczonych w latach 1903-1905 w

czasopiśmie ludoznawczym "Wiśła" (tomy: 17, 18, 19) ukazującym się w Krakowie.

Oczarowani pięknem ludowych zapisków, odnotowanych przez Witolda Prackiego (pseudonim Witowt), postanowiliśmy zająć się opracowaniem artystycznym wybranych baśni i legend.

Materiał przeszedł nasze oczekiwania. Motywy tematyczne, postaci oraz inne komponenty zapisanych baśni wskazywały wyraźnie na pokrewieństwo z tzw. baśnią klasyczną. Kontrastowe zestawienia charakteryzujące bohaterów (bogaty - biedny, głupi - mądry, litościwy - okrutny itp.) uwydatniały konflikty międzyludzkie, dynamizując narrację.

W baśniach zapisanych przez Prackiego obok ludzi i zwierząt działają też istoty obdarzone siłą magiczną. Dzięki niezwykłym zbiegom okoliczności jednostka pokrzywdzona (najmłodsze lub prześladowane dziecko, sierota, człowiek ubogi) zdobywa bogactwo, władzę, szczęście, pokonuje duże obszary przestrzeni, zmartwychwstaje itp.

Można zatem stwierdzić bez przesady, że utwory te zasługują na bliższe poznanie. Baśnie i legendy są bowiem skarbnicą wierzeń i tęsknot człowieka za prawdą, sprawiedliwością, szczęściem i pięknem.

I jeśli uda nam się w części przybliżyć Was, Drodzy Czytelnicy, do magicznego świata baśni, będziemy zadowoleni z pożytku naszego trudu.

Krystyna i Ryszard Kornaccy

ZMYŚLNY BARTEK

Był sobie ubogi chłop Bartek, który pasał bydło we dworze. Bieda w domu aż piszczała, bo miał też kogo żywić. Rodzina była liczna, składała się z siedmiorga dzieci i żony. Ze współczuciem i litością patrzył Bartek, jak jego najbliżsi jedzą kartofle bez omasty i popijają serwatką. Bywało i tak, że cały dzień trzeba było przeżyć bez jedzenia. Z tego powodu chłop często łamał głowę, ale nie mógł znaleźć żadnego wyjścia. Pragnął, żeby choć raz na święta sprawić swoim dzieciom prawdziwą ucztę, aby przynajmniej wtedy spróbowały prawdziwego mięsa.

Pewnego razu - a było to tuż przed Wielkanocą - wygonił chłop pańskie bydło na pastwisko. Z przyjemnością spoglądał na dorodne stado: piękne byki, krowy i cielęta. Policzył je, było dwadzieścia i jedno. W pewnej chwili przyszło mu na myśl, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Dlaczego pan ma dwadzieścia i jedno bydło, a on - Bartek nie ma żadnego? W czym gorszy jest od pana?

- A niech tam - myślał chłop - niech pan ma okrągłutko dwadzieścia, mnie wystarczy jedno.

Pokusa była silna, silniejsza niż sam Bartek. Nocą zakradł się do pańskiej obory, wyciągnął cielę i zarznął je. Zdartą skórę żona sprzedała Żydowi za marny grosik i za dochowanie tajemnicy. W święta rodzina zasiadła do zastawionego stołu, a Bartek wesoło zawołał:

- Jedzcie dzieci język, to będziecie pić wodę po języku!

Wszyscy z apetytem jedli śniadanie, pierwszy raz

w życiu najedli się do syta. Po dobrym jedzeniu cała rodzina poweselała. Dzieci pobiegły do studni i piły ile dusza zapagnie.

Pan nie mógł przeboleć utraty cielęcia, szukał go wszędzie. Straszył Bartka, że pozbawi go pracy i rodzinę wyrzuci z czworaków. Chłop jednak zaciął się, przysięgał i zaklinał na wszystkie świętości, że zwierzęta doprowadził do obory i policzył tak, iż zgadzało się do sztuki.

Pan jednak mu nie uwierzył i postanowił na własną rękę szukać zguby. Nie dał za wygraną nawet w czasie świąt. Potajemnie kręcił się w pobliżu izby Bartka. Zajrzał do ubożuchnej oborki, podał ubranie przy ogrodzeniu, podrapał ręce, ale cielaka nie znalazł. Nocami przewracał się z boku na bok i długo nie mógł zasnąć. A gdy już spał, śniły mu się cielęta o wielkich oczach i ich pusty uśmiech.

Pewnego dnia koło studni spotkał dzieci Bartka. Były zadowolone i łapczywie piły zimną wodę. Teraz był już pewien, że piją wodę, ponieważ zjadły mięso z jego cielaka. Podeszedł więc bliżej i zapytał:

- Po czym tak pijecie wodę?

- Po języku, jaśnie panie - odpowiedziały dzieci.

Zdumiony pan więcej się nie odezwał, tylko popatrzył wokół, czy ktoś nie widział i nie słyszał zuchwałej odpowiedzi dzieci, okręcił się na pięcie i poszedł jak niepyszny.

Tak oto zmyślny Bartek zapędził w kozi róg bogatego i chytrego pana.

Witowt. "Wisła" t. 19 z 1905 r. s.30

KRÓL WĘŻY I ZAMAWIACZ

W dawnych czasach ziemię podlaską pokrywały wielkie i nieprzebyte bory. Pełno w nich było grzybów, jagód, malin i jeżyn. Nie brakowało także wszelkiego zwierza: saren, dzików, wilków i zajęcy.

Jednak plagą grabowieckich lasów była mnogość różnego "paskudztwa" - węży, które kąsały podstępnie ludzi i bydło. Wędrowały ich całe gromady o najrozmaitszych kolorach i gatunkach. Zdawało się, że cała ściółka faluje i drga. Jedne były czarne w jasne cętki, inne żółto-brunatne, jeszcze inne - trudno określić jakie. Słychać było jednostajny syk i jakieś niesamowite szmery.

Z powodu takiej plagi ludzie biedni nie mogli bezpiecznie korzystać z dobrodziejstw lasów. Od lat więc nie zbierano w nich grzybów ani jagód. Nie pasano także bydła. Cóż było robić? Radzono się wiejskich bab, które leczyły ludzi, lecz one na aż tyle węży nie miały lekarstwa.

Pewnego razu najstarszy i bardzo mądry we wsi chłop wpadł na pomysł, aby poradzić się starego i zdziwaczałego Mateusza, który już z niejednego pieca chleb jadł. Jak postanowił, tak i zrobił. Zebrał gromadę wieśniaków i zapukał do chaty starego.

- Jak myślicie Mateuszu? Czy możemy się uwolnić od tego paskudztwa?

Mateusz, pocierając brodę, długo myślał i w końcu rzekł:

- Na mój rozum trzeba znaleźć zamawiacza węży, takiego, który rozumie ich mowę.

Łatwo powiedzieć, ale skąd tu wziąć zamawiacza. Wszyscy się tu znali i wiedzieli, że tego nie potrafi żaden z grabowieckich chłopów. Czekali więc cierpliwie, może się ktoś taki zjawi - no bo czy raz zdarzają się cuda i cudenka?

Ktoregoś dnia - a było to w czasie żniw - patrzą, a tu do wsi idzie jakiś człowiek. Już z daleka wyglądał na odważnego i chwackiego młodzieńca. Kiedy się przybliżył, zapytano go jak się nazywa, skąd i dokąd idzie. Nieznajomy odpowiedział:

- Wołają na mnie Grabek. Znudziła mi się służba u pana, bo mi mało płacił i źle traktował. Idę więc szukać nowej pracy.

- A co umiesz robić? - zapytał Mateusz.

- Wszystko - odpowiedział młodzieniec.

- Jak to wszystko? - dalej pytał chłop.

- A tak, wszystko - z przekorą w głosie odparł chłopak.

- No to może umiesz zamawiać węże, co?

Gromada w skupieniu czekała teraz na odpowiedź. Zrobiła się grobowa cisza, bo przecież wszystkim zależało na potwierdzeniu pytania.

- A umiem, znam mowę tych gadów i potrafię się z nimi obchodzić tak, że stają się bardzo posłuszne.

- To może nas od nich uwolnisz i uratujesz - wołali wszyscy, jeden przez drugiego.

- Czemu nie - odparł młodzieniec. W tłum wstąpiła otucha i wielka radość.

- Tylko jedno mi powiedzcie, ale samutką prawdę - przekrzykiwał gromadę chłopak - czy w tym lesie jest taki wąż co świszczę? Bo jeśli jest, to ja nie będę zamawiał.

Ludzie powiadają, że nie ma, bo co prawda, to prawda, nikomu nie dało się słyszeć, ażeby wąż świstał.

- No to wam węże zamówię - zgodził się.

Zaczęły się przygotowania do rozprawy z gadami. Wykonywano wszelkie polecenia Grabka. W pierwszym rzędzie rozkazał wykopać dół pod lasem i w tym dole zagrzebać słup wysoki, okrągły, gładziutko wyheblowany i wysmarowany mazidłem, żeby był śliski. A na tym słupie kazał zrobić sobie siedzenie.

Kiedy już wszystko było przygotowane, Grabek zwinnie wdrapał się na słup, usiadł wygodnie i świsnął.



Na dźwięk tego głosu węże zaczęły wysuwać się z legowisk, pełznąć do dołu i wpadać na samo dno. Ludzie stojący obok szybko zasypywali je ziemią i kamieniami.

Grabek świsnął drugi raz. Teraz jeszcze więcej ich przypęłzło i znowu zasypano je ziemią. Wtedy chłopak rozejrzał się i zobaczył, że jeszcze nie wszystkie zostały zwabione i schwytane.

Zaświsnął więc trzeci raz. Aż strach powiedzieć, co tu się stało, przywlokła się ich cała moc taka, że zdziwieni ludzie cofnęli się z przerażeniem. Szybko jednak podbiegli do dołu i zaczęli kolejne bestie zagrzebywać.

Nagle tę chwilę niezwykłą przerwał świst niespotykany. Poznał ten dźwięk zamawiacz - był to głos króla węży. A z nim nie pójdzie mu tak łatwo.

- No - powiada Grabek - teraz może być źle.

W tej chwili do dołu zbliżył się król węży zwabiony świstem Grabka. Pewnie poczuł zbliżającą się śmierć, lecz musiał dokonać zemsty. Podniósł do góry swój łeb ogromny i patrzył prosto w twarz człowieka siedzącego na słupie. Wszyscy dokoła zamarli w oczekiwaniu. Król węży tak mocno zasyczał, że słup zatrzęsł się, junak stracił równowagę i wpadł do dołu przygotowanego na te przebrzydłe gady. On zaś wpęłznął za nim. Ludzie nie wiedzieli teraz co mają czynić, ale Grabek dał znak ręką i zawołał:

- Żegnajcie, przyjaciele!

Wtedy zawałono ziemią wszystkie węże, a z nimi Grabka - zamawiacza.

Starzy ludzie, którzy to wszystko widzieli na własne oczy, opowiadali wnukom, że długo jeszcze w tym miejscu ziemia się trzęsła. A z głębi zasypanego dołu dochodziły do ludzkich uszu gadzie narzekania.

Odtąd jednak nikt i nigdy nie spotkał w lesie paskudnego węża. A o odważnym czynie Grabka do dziś jeszcze bajają w zimowe wieczory grabowieccy chłopci.

Opowiadał Ludwik Hawryluk - zapisał Witowt. "Wisła", tom 19 z 1905 r. ss. 296, 297.

ORGANY - SAMOGRAJE

Dawno, dawno temu, w lesie koło Dubicza stał stary kościółek. Cały był z drzewa modrzewiowego, na solidnej kamiennej podmurówce. Kościółek często odwiedzali okoliczni chłopci, a bywało, iż nie omijali go i bogaci kupcy zdążający na jarmarki w pobliskim grodzie.

W każdą niedzielę i dni świąteczne rojnie przybywali tu parafianie wysłuchać mszy świętej i organów, które pięknie grały bez organisty. Wieść o tym rozeszła się po szerokim świecie. Garnęli się więc do owej świątyni ludziska ze wszystkich stron.

Pewnego razu o zaczarowanych organach dowiedział się sam wojewoda grodzki i postanowił je kupić bez względu na cenę. Przyjechał do kościoła w szczerzotej karecie, zaprzężonej w szóstkę białych koni, wysiadł i mówi do zgromadzonych parafian:

- Dobrzy ludzie, dam wam kilka worków złotych dukatów za czarodziejskie organy, dołożę jeszcze płótna i perkalu.

Na placu przed kościołem zaległa cisza. Nikt nie śmiał odpowiadać takiemu panu. Tylko kobiety cicho narzekały na zachłanność wojewody. On zaś chwilę odczekał, pomyślał i nie zrezygnował ze swego zamiaru. Po nabożeństwie wybrał się ze służbą do pobliskiej karczmy. Zamówił wiele jadła i gorzałki, hojnie nią chłopów częstował. Kiedy już wszystkim dobrze z głów się kurzyło, zaczął namawiać do sprzedaży organów. Nikt jednak nie kwapił się do rozmowy, wszyscy udawali, że nie słyszą ohiatnic wojewody.

Ale jak to już w życiu bywa, znalazło się w gospodzie trzech przygodnych rabusiów, którzy za sowitą nagrodę postanowili ukraść organy-samograje. Następnego wieczoru dotarli potajemnie do pustego kościoła, po krętych schodkach dostali się na chór i już mieli instrument w rękach, gdy nagle usłyszeli słodką melodię organową i poculi, że kościół drży w posadach, a potem powoli zapada się pod ziemię.

Tak więc złoczyńcy zostali sprawiedliwie ukarani, a pan musiał powracać z niczym do swojego grodu.

Na miejscu kościoła pozostało jedynie wielkie zapadlisko, w którym zagnieździły się żaby. Na wiosnę chętnie wygrzewają się w nim węże, jaszczurki i inne gady.

Jeżeli ktoś późną porą, najlepiej o dwunastej w nocy, wejdzie w zapadlisko, klęknie i przyłoży ucho do ziemi, to usłyszy piękne granie organów-samograjów.

I ja tam pewnego razu byłem i na własne uszy usłyszałem, a potem wam opowiedziałem.

Opowiadał M. Pulik z Międzyrzecza Podl. - 1992 r.

DZIEWCZYNA O ŻŁOTYCH KĘDZIORACH

Działo się to bardzo dawno temu, jeszcze za czasów, gdy na świecie panowali królowie.

W niewielkim królestwie żył sobie stary król, który miał trzech synów. Dwóch było mądrych, a trzeci, najmłodszy - głupi. Według prawa i obyczaju jednemu z synów należały się korona i dziedzictwo po ojcu. Martwił się z tego powodu stary władca, gdyż nie wiedział, jak jego synowie podzielią bogactwa i czy będą żyli w braterskiej zgodzie. Łzami się zalewał, gdy myślał o najmłodszym synu, którego wszyscy w państwie wytykali palcami, nazywając głupim. Drwili z niego dworzanie, wyśmiewali się też w skrytości ducha poddani.

Pewnego razu wezwał do siebie dwóch starszych synów, aby postanowić, co robić dalej. Radzili bardzo długo, lecz żadnemu z nich nic mądrego do głowy nie przychodziło.

W końcu stary król przypomniał sobie, że jego najmłodszy syn chciał pojąć za żonę dziewczynę o złotych kędziorach, a takiej nie było w całym jego królestwie. Zdecydował więc wysłać syna w świat, by znalazł sobie upragnioną żonę. Pewnie jej nie znajdzie, ale w szerokim świecie nauczy się pracy i zaradności, a jeśli nie, to zginie.

Wędruje, wędruje najmłodszy syn, przewędrował spory szmat drogi, aż dotarł do starego lasu. Usiadł strudzony na jego skraju i zasnął. Błogi sen przerwało mu czyjeś tęgie chrapanie. Przetarł oczy i patrzy, a tu przed nim stoi wielki niedźwiedź i wyciąga do niego

swoją kosmatą łapę.

- Dzień dobry młody człowieku - przemówił ludzkim głosem.

- Dzień dobry - odpowiedział królewski syn.

- Gdzie tak wędrujesz? - pyta niedźwiedź. - Widzę żeś okropnie strudzony, a i upał dziś doskwiera.

- Idę szukać żony, dziewczyny o złotych kędziorach.

- A to się dobrze składa, ja też wędruję sobie po świecie, jak chcesz mogę ci towarzyszyć - odpowiedział niedźwiedź.

- Dobrze - odparł królewicz - Razem będzie nam raźniej.

I poszli. Po długiej wędrówce dotarli do pierwszego królestwa. Dowiedzieli się, że w pałacu żyją cudowne ptaki, które potrafią mówić.

- Weź te ptaki - radzi niedźwiedź - możemy dostać za nie dużo jada. Możemy też zapytać o dziewczynę, której poszukujesz.

Lecz król dowiedział się o zamiarze królewicza i niedźwiedzia, mówi więc z prośbą w głosie:

- W drugim królestwie jest piękny koń, tak piękny, że nie ma nic wspanialszego na świecie. Jak zdobędziesz tego konia, to ja dam ci swoje ptaki.

- Zgoda - odrzekł królewicz.

Szybko dotarli do drugiego królestwa i dostali się do pałacu. Król, widząc gości z dalekich stron, wyszedł im naprzeciw. Pozdrowił i zapytał o cel przybycia.

- Żyje w tym królestwie niezwykły koń - mówi najmłodszy królewicz - chcemy go zdobyć.

Wtedy władca powiedział:

- W trzecim królestwie mieszka piękna dziewczyna, jeśli mi ją przywieziecie, oddam swojego konia.

Po długiej podróży znaleźli się we wskazanym królestwie. W olbrzymim ogrodzie zobaczyli urodziwe dziewczyny. Niedźwiedź skoczył natychmiast i schwytał najpiękniejszą. Prędko przyjechali do króla, który posiadał niezwykłego konia. Królewiczowi żal było pięknej dziewczyny o złotych kędziorach, nie chciał jej oddać, pragnął również mieć wspaniałego konia. Niedźwiedź widział rozterkę chłopca i piękne oczy dziewczyny. Zrozumiał, jak bardzo sobie przypadli do gustu. Postanowił więc pomóc obojgu i zmienił się w dziewczynę, jeszcze ładniejszą niż ta, którą porwali. Wtedy



królewicz dał królowi piękną pannę, wziął konia i odjechał. Kiedy panna odmieniła się w niedźwiedzia, król przestraszył się i uciekł.

Gdy przybyli do królestwa, w którym były mówiące ptaki, niedźwiedź przybrał postać konia, a królewicz zabrał ptaki i odjechał. Po pewnym czasie dołączył do niego niedźwiedź, zadowolony, że wszystko odbyło się pomyślnie.

W dalszej drodze wydarzyło się nieszczęście. Bracia niby to głupiego królewicza dowiedzieli się, że jest zdrow i cały, mało - podąża do domu z piękną dziewczyną. Postanowili zabrać mu wybrankę, a jego zabić. Przygotowali zasadzkę i uśmiercili najmłodszego brata.

Usiadł niedźwiedź nad ciałem nieboszczyka i płacze. Zleciała się chmara kruków i wron. W pewnej chwili niedźwiedź chwycił małe wroniątko, które zaczęło się drzeć wniesbogłoty.

- Oddaj nam nasze dziecko - prosiła wrona.

- Oddam, jeśli mi przyniesiecie ziele życia, muszę nim wskrzesić mojego przyjaciela - mruknął zniecierpliwiony.

Gromada wron poleciała szukać cudownego ziela, a niedźwiedź wypuścił na wolność małe wroniątko. Ptaki wkrótce powróciły na polanę z odżywczym ziele. Teraz niedźwiedź szybko przygotował wywar z ziela, natarł nim ciało najmłodszego królewicza i ożywił go.

Poszli tedy do braci, którzy w tym czasie rządili królestwem. Gdy dziewczyna zobaczyła chłopca i niedźwiedzia, zawołała:

- O ten jest moim wybranym, za niego wyjdę za mąż.

Wtedy to niby niemądry królewicz odebrał braciom ptaki, konia i ukochaną dziewczynę o złotych kędziarach. Potem w pałacu królewskim odbyło się huczne wesele, na którym i ja byłem, miód i wino piłem.

Witowt. "Wisła" - tom 17 z 1903 r. ss. 557-558.

PRAWDA I KRZYWDA

Bardzo dawno temu we wsi Turów żyły sobie Prawda i Krzywda. Żyły w wielkiej zgodzie, tak jak moja żona z waszą żoną, moja sąsiadka z waszą sąsiadką. Były przyjaciółkami dopóty, dopóki Krzywdy na posadę do urzędu nie wzięli, bo bez niej nie można było sądzić. Wtedy Prawda zaczęła schodzić na psy. Żle się działo na ziemi, więc postanowiła pójść do nieba. Wspięła się po dużej drabinie i po chwili znalazła w zaświatach. Ale i tu długo miejsca nie zagrzała, bo coś miała do roboty w raju, wynędziła tylko i wychudła. Kłamstwa i fałszu przecież tutaj nie mogła znaleźć. Niczym się nie mogła wyróżnić. Pomyślała więc, że musi wrócić na ziemię. Jak pomyślała, tak i zrobiła. Potem wzięła kij i torbę i poszła w daleki świat szukać dla siebie zajęcia.

Długo wędrowała po świecie, widziała wiele obłudy i krzywd, lecz nic nie mogła na zło poradzić. Pewnego razu idzie sobie Prawda i własnym oczom nie wierzy, powozem jedzie Krzywda. Gdy zobaczyła Prawdę, mówi:

- Dzień dobry, Prawdo.
- Dzień dobry, Krzywdo - odpowiada Prawda.
- O moja Prawdo, siadaj do powozu, to cię kawałek podwiozę. Opowiadaj co u ciebie słychać, widzę, że nietęgo wyglądasz.
- Oj, nielekkro mi moja Krzywdo, nikt nie chce dać pracy i zarobku. Wszyscy mnie palcami wytykają i wyśmiewają, a przecież tyle jest dla mnie roboty na tym świecie.

Zajechały do pobliskiego miasteczka i dalej jeszcze. Patrzy Prawda, a tu stoją trzy szubienice. Wtem Krzywda mówi do Prawdy:

- Jak chcesz, to ja twój zły los odmienię, osłodzę ci życie, tylko pozwól sobie wyjąć oczy. Nie będziesz niczego widziała, to ci będzie dobrze.

Wzięła Krzywda nóż z torby, wyjęła oczy Prawdzie i rzuciła je pod powóz. Kazała jej wysiąść z powozu i klęknąć pod szubienicą.

- Teraz na pewno dostaniesz od dobrych ludzi jałmużnę - powiedziała Krzywda. - Będą obok ciebie przejeżdżać i zobaczą, że Prawda jest ślepa, więc można robić co się tylko chce i rzewnie podoba.

Podczas całego okresu rządów Krzywdy działy się rzeczy straszne. Złodzieje kradli, zbóje napadali na bezbronnych, ludzie o byle głupstwo się kłócili i sądzili, ale nikt nie mógł dojść prawdy, bo Prawda była ślepa. Siedzi Prawda pod szubienicą jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć lat, przesiedziała chyba siedem, a wydało się jej, że dopiero co przyszła i nie widzi, co się wokół niej dzieje.

Aż tu pewnej nocy słyszy szelest, w górze odgłosy piorunów i szum wichru. Słyszy również jakieś ludzkie głosy. To rozmawiali wisielcy, którzy wisieli na szubienicach. Prawda nastawiła czujne ucho i słyszy, jak jeden z nich mówi:

- W tym kamieniu, w środku, jest czarodziejska trawa, a kto tą trawą oczy przetrze, to natychmiast wyzdrowieje.

Drugi mówi:

- W tym królestwie jest królewicz chory na suchoty, leczą go różne znachory i doktory, ale nie mogą mu pomóc, nie widzą, że źródłem choroby jest stara żaba, która żyje pod podłogą pokoju królewicza. Kto zabije żabę, ten uzdrowi królewicza.

Trzeci mówi:

- W tym królestwie nie ma dobrej wody, bo źródło jest przygniecione kamieniem, kto ten kamień podniesie, wytryśnie woda.

Prawda wszystkiego uważnie wysłuchiwała i lezie po ziemi, żeby odnaleźć kamień z leczniczą trawą. Znalazła pęknięty głaz, a w nim trawę. Narwała jej i natarła sobie oczy, w pewnym momencie odzyskała wzrok. Bardzo

się ucieszyła, że znowu wszystko widzi. Idzie więc do królestwa, w którym był królewicz złożony chorobą, każe sługom zerwać podłogę i zabić starą żabę. I o dziwo, królewicz z każdym dniem staje się zdrowszy. Prawda jest zadowolona z siebie, bo wszystko jej się udaje. Idzie więc do miasta, żeby podnieść wielki kamień. Stało się, jak myślała. Spod kamienia wytrysła źródłana woda. Ludzie spoglądają z zachwytem i uznaniem na Prawdę i aż im wstyd, że nie chcieli jej na posadzić w urządzie. Każdy pytał:

- Kto to wszystko zrobił?

- Ano, Prawda.

- Czyja Prawda?

- Moja Prawda.

Po tych zdarzeniach wszyscy mieszkańcy zawzięli się na Krzywdę, wyrzucili ją z urzędu i Prawda wyszła na wierzch, stała się Panią.

Pewnego razu jedzie sobie Prawda powozem, a tu patrzy - idzie Krzywda, chuda, wynędzniała, że ledwie powłóczy nogami.

- Dzień dobry, Krzywdo - woła Prawda.

- Dzień dobry, Prawdo - odpowiada Krzywda.

- A, moja Krzywdo, siadaj ze mną do powozu, to cię kawałek podwiozę.

I tak jak niegdyś Krzywda rzecze Prawda:

- Opowiadaj co u ciebie słysząc, widzę że nietęgo wyglądasz.

- Oj, nielekkko mi moja Prawdo - i dalej jej opowiadać o kłopotach.

Prawda wszystkiego słuchała, pokiwała głową i mówi:

- Dam ci jedną radę, taką samą jak ty mi dałaś. Pozwól sobie wyjąć oczy i usiądź pod szubienicą. Pewnie dostaniesz od ludzi jałmużnę, każdy coś ci wrzuci do torby.

Siedzi Krzywda pod szubienicą, siedzi siedem lat, a zdaje się, że dopiero co przyszła. Torba jej świeci pustkami jak łupina orzecha. Aż tu którejś nocy słyszy szelest, odgłosy piorunów w górze i wielki szum wichru, słyszy także ludzkie głosy. To znów rozmawiają wisielcy. Jeden mówi:

- Kto ten kamień odwalił i dał ludziom wodę?

Drugi pyta:

- Kto królewicza do zdrowia przywrócił?

Trzeci pyta:

- A Prawdzie kto oczy wstawił?

Teraz wszyscy mówią:

- Ktoś pewnie nas podsłuchuje, ale kto?

Jeden z nich spojrzał w dół pod szubienicę, a tu siedzi Krzywda i podsłuchuje.

- To pewnie ona - stwierdzili i długo się nie patyczkowali. Ukręcili łeb Krzywdzie. I tak właśnie Krzywdę diabli wzięli.

Od tej pory ludzie powiadają:

- Gdzie moja krzywda?

- Krzywdę diabli wzięli.

- Nie ma Krzywdy, moja prawda.

Opow. Fr. Komoń z Turowa, notował Witow1. "Wisła" tom 17 z 1903 r. ss. 547, 548

GDZIEŻEŚ SIĘ PODZIAŁ CZARNY BARANIE

Ongiś, bardzo dawno temu, nad rzeką Krzną stał wspaniały zamek. Z niewiadomych przyczyn zapadł się pod ziemię tak głęboko, że nic nie zostało po nim, ani jedna cegielka, ani nawet najmniejszy ślad. Ludzie pamiętali to miejsce z opowieści rodziców, rodzice z opowieści dziadków, dziadkowie z opowieści pradziadków... Pamiętali tak długo, że nazwali je ulicą Zamczysko. Ulica przechodziła obok rzeki i w pewnym miejscu musiała ją przeciąć. Położono wtedy niewielką kładkę, którą z czasem trzeba było zamienić na drewniany mosteczek.

Jak głosi legenda - o północy, po drewnianych barierkach mostu spacerował czarny baran. Widziało go wielu ludzi, którzy mogli przysiąc, że była to najczystsza prawda. Niejeden śmiałek próbował złapać czarnego barana i gdy już miał go w rękach, czarny baran znikał, zapadał się w ciemności. Baran nic złego ludziom nie czynił, pokazywał się zawsze w tym samym miejscu, o tej samej porze i znów ginął w mroku. W końcu ludzie orzekli, że musi to być siła nieczysta, która przybiera taką postać. Nikt jednak nie wiedział, jak to sprawdzić.

Pewnego dnia, po służbie wojskowej wracał do wsi młody chłopak. Był to człek wesóły i odważny, choć biedny jak mysz kościelna. Nie miał przy sobie nic prócz kawałka chleba, dzbanka czystej wody i postrzępionego odzienia.

Idzie sobie - aż tu patrzy - siedzi starzec, maleńki, skurczony, z długą brodą, ubranie na nim poszarpane, jakby z wiatrem polkę tańczył.

Staruszek prosi:

- Chłopcze, przyodziej mnie, nie mogę się poruszyć, bo ubranie całkiem ze mnie leci.

Młodzieniec niewiele się zastanawiał, zdjął z siebie połataną marynarkę, wyjął z torby stare drewniaki i podarował starcowi.

- Weź proszę, choć sam niewiele posiadam, podzielę się z tobą i dam ci to, co mam.

- Dziękuję ci, idź z Bogiem - odpowiedział starzec.

Wędruje chłopak ochoczo, choć srogi upał mu doskwiera. Nagle spostrzegł drugiego staruszka, młodszego od poprzedniego, lecz bardzo słabego.

- Daj mi pić chłopcze - prosi starzec - od trzech dni nie miałem ani kropli wody w ustach.

Wyjął młody chwyt swój dzban i napił starca.

- Dzięki ci za twoje dobre serce, wędruj dalej, a na pewno spotka cię szczęście.

Uradowany junak ruszył z ochotą dalej. Przeszedł kilka, a może kilkanaście kilometrów. Strudzony wielce zapragnął usiąść i odpocząć.

Nagle usłyszał chrapliwy głos:

- Dzień dobry młodzieńcze, widzę, że bardzo strudzony, usiądź przy mnie, odpocznij trochę.

Staruszek był bardzo siwiutki, a głos miał tak słaby i ochryply, że ledwie można było jego słowa zrozumieć:

- Bardzo długo wędruję po tym świecie, już tak długo, że nie wiem, kiedy ostatni raz jadłem. Gdybym zjadł choć kromkę chleba, poczułbym się lepiej.

Młodzieniec wyjął z torby ostatni kawałek chleba i oddał starcowi. Ten jadł chleb wolniutko, a kiedy zjadł, powiedział:

- Widać, żeś dobry człowiek. Oddałeś mi swój ostatni kęs chleba, napiłeś i przyodziałeś. Czas abym i ja cię wynagrodził.

- Nie dla nagrody to robiłem, lecz z serca - odpowiedział młodzieniec.

- Widzę, żeś nie tylko dobry, ale i skromny. Mało jest takich ludzi na świecie. Przyjmij więc ode mnie w nagrodę torbę, w której wszystko może się zmieścić.

Jak powiedział, tak się stało. W torbie można było znaleźć wszystko. Nie brakowało w niej nigdy jedzenia, picia i odzienia.

Młodzieniec chciał podziękować starcowi, lecz nim wydobył z siebie słowo, staruszka już nie było. Ruszył więc w dalszą drogę, aż dotarł do jakiejś miejscowości, w której stała stara karczma.

Postanowił wejść do środka. Zajrzał do torby i ku zdziwieniu wszystkich wydobył z niej świeży chleb, kawał mięsa i chociaż miał wodę w torbie, poprosił o kufel piwa. Stary Żyd - karczmarz zdziwił się bardzo, że ten ubogo ubrany i biedny człowiek jada jak prawdziwy pan. Przysiadł do chłopca i chciał się koniecznie dowiedzieć, skąd pochodzi i dokąd wędruje.

- Dokąd idziesz młodzieńcze, gdzie masz swój dom?

Chłopiec odrzekł, że mieszka wszędzie i chodzi po świecie, aby zamknąć w torbie wszystkie duchy, strachy i nieszczęścia.

- Taki jesteś odważny? - zapytał Żyd. - A jakże ty, mizeroto, poradzisz wszystkim duchom i siłom nieczystym?

- Zamknę je w torbie - tu pokazał Żydowi torbę, która wydała się być bez dna.

- Ty chyba kpisz ze mnie starego - powiedział karczmarz.

- Wcale nie, możesz się o tym przekonać.

- A to dobrze się składa - powiedział sprytny Żyd. U mnie na strychu coś straszy. Zawsze o północy słyhać jęki, jakby jakiś płacz.

- To możesz dzisiaj spać spokojnie, nic ci nie będzie przeszkadzało - uśmiechnął się młodzieniec.

Kiedy wybiła północ, chłopak wszedł na strych, wyłapał wszystkie duchy, zamknął je, a torbę powiesił na ścianie. Potem położył się spać.

Następnego ranka zdumiony właściciel karczmy sam się przekonał, że młodzieniec nie żartował i dotrzymał danego słowa. Tym bardziej więc zapragnął odkupić czarodziejską torbę.

- Dam ci za nią beczkę dukatów i na dodatek pięknego konia.

Ale młodzieniec nie zgodził się. Zapłacił za nocleg jak należy, podziękował za towarzystwo i ruszył w drogę.

Wtem patrzy - przy drodze stoi mała kuźnia, a w niej kowal wali młotem ile sił. Pomyślał więc chłop, że nadchodzi odpowiednia chwila, aby pozbyć się du-

chów. Chciał je wydobyć z torby i wybić kowalskim młotem, lecz duchy przyrzekły, że już nigdy nie będą straszyć. Chwilę pomyślał i wypuścił ja na wolność.

Potem wędrował dokąd chciał, nie śpieszyło mu się się do domu, bo go nie miał, nie miał też swoich najbliższych, sam był na świecie. Przez kilkanaście lat, a może i więcej, chodził po ziemi, pomagał ludziom w nieszczęściu, karmił zgłodniałych, poił spragnionych, przyodziewał obdartych.

Aż tu pewnego razu, gdy odpoczywał pod drzewem, przychodzi do niego czarny baran. Powoli zrzuca z siebie baranią skórę, przyobleka postać śmierci i tak powiada:

- Już ty niebogo musisz zejść z tego świata, bo i na ciebie przyszła kolej.

Przekorny człowiek, mimo, iż przeżył dużo lat i mógłby spokojnie umrzeć, nie pragnął jeszcze swojej śmierci.

Złapał ją więc i zamknął w swojej torbie i nosił ze sobą jeszcze pięć lat. Przez ten czas ludzie nie umierali, jedni z tego powodu byli szczęśliwi, inni nie. Byli wśród nich także i ci, którzy bardzo oczekiwali śmierci jak zbawienia. W końcu naszemu bohaterowi sprzyrzyło się życie, wypuścił śmierć z torby i pierwszy padł jej ofiarą.

Odtąd nikt już nie spotkał czarnego barana. Przepadł gdzieś na zawsze. Chyba dobrze się stało, że pozostał chociaż w tej legendzie?

Opowiadała: Zofia Węgrzyniak z Międzyrzecza Podl. w 1979 r.

O PRACOWITEJ MARYSI I LENIWEJ HANCE

Dawno, bardzo dawno temu, w niewielkiej osadzie nad Krzną żył chłop, któremu na imię było Jakub. Żona zmarła mu wcześniej i biedne chłopisko nie bardzo mogło sobie poradzić z prowadzeniem niewielkiego gospodarstwa. Chodził więc obdarty, brudny i wiecznie głodny. Gdy zabrakło żony, stał się bezradny i markotny. Ciężko mu było w dwójnásób, bo kobieta osierociła ośmioletnią córkę - Marysię, dziecko śliczne jak z obrazka, pracowite i chętne do pomocy. Lecz cóż mogły zrobić dziecięce rączyny? Jak mogły poradzić sobie w gospodarstwie?

Widząc nieszczęście i smutek wdowca, sąsiadki pomagały mu jak tylko mogły. To przynosiły gorącej polewki, to pierogów z serem, to znów kawałek chleba. I tak mijały dni pełne trudu i znoju. Więc baby - jak to baby - zaczęły Jakuba nachodzić i głowę mu tumanić, żeby się powtórnie ożenił. I tak go skołowały, że chłop ani się spostrzegł, jak naraily mu wdowę energiczną i gospodarną, ale bardzo chciwą.

Kobieta miała córkę Hankę. Rówieśniczka Marysi była jednak leniwa, niczego nie potrafiła zrobić. Macocha często złościła się na Marysię, a Hankę stroiła i oszczędzała. Marysia z ochotą i solidnie wykonywała swoją pracę, ale nigdy nie dostała pochwały, co najwyżej spotykały ją gniew i niezadowolenie, a nie- rzadko - szturchańce.

Jakub ponieważświe pojął, że źle postąpił, ulegając podszeptom sąsiadek, lecz nic nie mógł na to poradzić. Zamykał się więc w sobie i do nikogo się nie odzywał.

Teraz macocha Marysi, a jego żona rządziła nim i całym dobytkiem. Nie chciał się jej narażać, toteż pracował ze swoją córką na cały dom. W wolnych chwilach, w tajemnicy przed macochą lubił siadać przy kominku i ćmiąc fajkę wspominał szczęśliwe chwile spędzone za życia pierwszej żony. Ojcowskie serce kroiło się z bólu na widok smutnej i wiecznie zaharowanej Marysi.

Pewnego razu macocha srodze rozgniewała się na dziewczynę i postanowiła pozbyć się pasierbicy z domu. Gdy Jakub wrócił z pola, tak rzekła do niego:

- Jak jej w lesie nie stracisz, to wygonię cię z domu i z tobą żyć nie będę.

Stary wiedział, że to nie przelewki, ale żal mu było córki, bo nie chciał odbierać jej życia. Zrozumiał, że musi coś wymyślić, aby zeszła babie z oczu.

Wziął konie, zaprzągnął do drabiniastego wozu, posadził na nim Marysię i pojechał do lasu. Modlił się gorąco po drodze i powierzył los córki ludziom i opatrzności. Gdy zajechali na miejsce, stary zszedł z wozu i zwrócił się do córki:

- Nazbieraj suchych gałęzi, ja rozejrzę się w lesie, wytnę sosnę, wrócę po ciebie i pojedziemy do domu.

Serce ojca aż ścisnęło się z żalu. Wiedział, że zostawia dziecko na pastwę losu. Ale cóż mógł więcej dla niego zrobić? Szybko więc zaciął konie i wrócił do domu.

Tymczasem Marysia uwinęła się ze swoją robotą, siadła pod drzewem i cierpliwie czekała na ojca. Czekła godzinę, dwie, trzy, aż tu w lesie na drzewa pełźnie mrok. Robi się ciemno i nieprzyjemnie, a ojca ani widu, ani słyhu. Dziewczyna poczuła się nieswojo, zaczyna rozglądać się i nawoływać:

- Tato, tato, gdzie jesteś?

Na próżno, nikt się nie odzywa, wołaniom tylko echo wtóruje. Marysia bezradnie rozgląda się wokoło i nie wie, co dalej robić. Siadła więc na ziemi pod krzaczkiem i czekała. Nagle słyszy czyjś głos:

- Czego tu siedzisz dziecko, czyś zbłądziła?

Marysia spojrzała przed siebie i widzi, że stoi przed nią stary, siwiutki człowieczek.

- Nie bój się mnie i powiedz, co ci się stało? - pyta. Dziewczyna opowiedziała mu o wszystkim. Staruszek wysłuchał uważnie i mówi:

- Nie masz już czego siedzieć, ojciec pojechał do domu, bo tak kazała mu macocha. Jeśli chcesz, to możesz iść do mnie na służbę.

Cóż miała robić - zgodziła się. Po godzinie, dwóch, a może i więcej doszli do starej leśnej chatki, w której mieszkał staruszek. W środku ciepło i przytulnie, ale widać brak kobiecej ręki. Od razu wzięła się Marysia do pracy. Pozamiatała podłogę, zmieniła pościel i z pobliskiego źródła przyniosła czystą wodę. Potem rozpałała na kominku i zajęła się przygotowaniem stawy. Staruszek nic nie mówił, tylko przypatrywał się bacznie, jak dziewczyna krząta się po izbie.

Jej służba trwała całutki rok. Kiedy miała odchodzić, staruszek zapytał:

- Co ci dać za służbę?

- Co łaska, dobry panie - odrzekła.

Wtedy staruszek powiedział:

- Zagładnij w moje ucho, jeśli czyste, to dam ci czystą zapłatę.

Marysia spojrzała w ucho - było czyste jak biały kawałek łą. Dał jej więc gospodarz kufer złota i parę koni w srebrnej uprzęży. Dziewczynka pomyślała, że teraz macocha będzie z niej zadowolona i z radością zajęła przed dom. Jednak chytra baba zamiast się cieszyć z bogactwa kazała Marysi wszystko dokładnie opowiedzieć. Kiedy poznała szczegóły, tak mówi do męża:

- Zabierz do lasu teraz moją córkę, niech i jej się poszczęści.

Stary wziął drabiniasty wóz i pojechał z Hanką do lasu. Wysadził ją pod drzewem i mówi:

- Nazbieraj suchych gałęzi, ja rozejrzę się w lesie, wytnę sosnę, wrócę po ciebie i pojedziemy do domu.

Córka baby wcale nie zbierała gałęzi, beczynn timer siedziała pod drzewem i czekała na nieznanomego człowieka. Miało się już pod wieczór, gdy usłyszała czyjś głos:

- Czego tu siedzisz, dziecko, czyś zabłądziła?

Hanka kłamała jak najęta:

- Przyszłam do lasu na grzyby i zbłądziłam, robi się ciemno i nie wiem, jak odnaleźć drogę do rodziców.

- Już nie trafisz do domu, chodź do mnie na służbę - powiada człowieczek. I weszli do leśnej chatki

staruszka, w której było ciepło i przytulnie. Hanka rozgląda się ciekawie, ale robić się jej nie chce. Czeką tylko na zapłatę.

- Idź no przynieś wody - prosi starzec.

- Ani mi się śni - woła Hanka.

- Idź no przynieś drzewa, bo trzeba pod kuchnią rozpalić.

- Ani mi to w głowie - znowu niegrzecznie odpowiada Hanka. I tak na beczynności i lenistwie przeleciał calutki rok służby. Przyszedł czas zapłaty. Człowieczek pyta:

- Co ci dać, czy pieniędzy, czy innego dobra?

Hanka z pośpiechem odpowiedziała:

- Wiadomo, pieniędzy i złota.

Wtedy starzec zaproponował:

- Zajrzyj w moje ucho, jeśli jest czyste, to i zapłata będzie czysta.

Hanka zajrzała, a ucho było tak paskudnie brudne, że aż się przeraziła. Wtedy stary mówi:

- Dam ci kufer i konia.

- Dawaj i to szybko - zawołała Hanka.

- Daję ci zapłatę na jaką zasłużyłaś, jednak pod jednym warunkiem, że obejrzysz zawartość kufra dopiero w domu.

- Dobrze, dobrze - odrzekła pośpiesznie.

W drodze powrotnej coś ją kusiło, aby zajrzeć do kufra, pamiętała jednak o przestrodze staruszka. Zjechała przed dom, a tu wdowa wybiega, córkę czule ściska i rozpytuje, co i jak. A ponieważ obie były ciekawe, co znajduje się w kufrze, szybko go otworzyły.

Z kufra zaczęły wylazić żaby, jaszczurki, kąśliwe węże i żmije. Wtedy baba z córką w krzyk, pisk i głośny lament. Wówczas do izby weszła Marysia. Żal jej się zrobiło Hanka, bo serce miała litościwe.

- Zabiorę od was to robactwo, ale musicie mi obie przyrzec, że już nigdy z ojcem moim kłótni nie będzie, a Hanka weźmie się do roboty i przestanie się stroić.

Matka z córką były tak przestraszone, że chętnie przystały na warunki Marysi. Wtedy ona cichym głosem przemówiła do zwierząt. Co się stało, pewnie się sami domyślicie. Nieznośne stwory posłusznie powłaziły do kufra. Ile razy potem macocha próbowała krzyczeć na ojca lub łąać Marysię, z kufra dawał się

słyszeć syk węża. Wtedy ona szybko milkła i zaganiała swoją córkę do roboty. Po roku solidnej pracy Hanka stała się miłsza, uczciwa i grzeczniejsza. A Marysia z ojcem opowiadali sobie, jak to praca ludzi wzbogaca, a lenistwo prowadzi do nieszczęścia.

Witowt, "Wisła" t. 19 z 1905 r.

DWA PIERŚCIENIE

Dawno, dawno temu, w pewnej podlaskiej wsi, położonej między dwiema rzekami, otoczonej starymi borami, mieszkała piękna dziewczyna o niezwykłym imieniu Perelija.

Była ubogą sierotką i coraz to najmowała się do bogatych ludzi na służbę. Jedyną drogocenną rzeczą, którą posiadała był blaszany pierścionek, pamiątka po matce. Strzegła go więc jak żrenicy oka. Kiedy wykonywała różne posługi, pierścionek chowała do swego pudełeczka i dlatego, choć blaszany, błyszczał zawsze jak ze szczerzego złota. Nakładała go tylko wtedy, gdy wybierała się po wodę do odległego od domu źródelka. Zawsze kogoś po drodze spotykała, serdecznie zagadnęła, pogwarzyła. Wszyscy zachwycali się jej pierścionkiem i wierzyli, że biednej sierotce musi przynieść szczęście.

Pewnego dnia - jak zwykle - wstała bardzo wcześnie, rozpałała ogień pod blachą, wydoiła krowy, wzięta konwie i poszła po źródlaną wodę dla pana, który innej wody nie pijał. A że była zawsze bardzo pogodna i wesola, zaczęła nucić piosenkę:

"Jest drożyna jest
przez calutką wieś.
Wydeptała ją Kasieńka
jak nosiła jeść..."

Głos miała Perelija mocny i dźwięczny tak, że echo niosło słowa piosenki po całym lesie. Droga jej się dłużyła i niebawem doszła do źródelka. Postawiła konwie na ziemi i już chciała zaczerpnąć wody, gdy

z przerażeniem spostrzegła, że na palcu nie ma swojego pierścionka. Zaczęła go szukać w trawie, nachyliła się nad źródelkiem, lecz pierścionka nie znalazła. Usiadła więc zrozpaczona i rozplakała się.

Wtem, jak spod ziemi, wyrósł przed nią dziwny stwór, ni to jeź, ni to zwierz i przemówił ludzkim głosem:

- Jeślibyś poszła za mnie, to bym ci pierścionelek oddał.

Dziewczyna się przestraszyła, ale po chwili rzekła:

- Dobrze, obiecuję ci, że zostanę twoją żoną i będę ci wierna aż do śmierci.

Nim skończyła mówić, stwór zniknął, a pierścionelek znalazł się na palcu. Otarła więc łzy i powoli wróciła do domu, nie mówiąc nikomu o tym spotkaniu.

Wkrótce zapomniała o całym zdarzeniu. Każdy dzień wypełniony był ciężką pracą. I tak żyła między praniem, cerowaniem, gotowaniem i bieganiem po wodę.

Minał miesiąc, dwa, może rok. Perelija siedziała do późnej nocy, cerowała swoje porwane rękawice i nuciła cichutko.

Aż tu nagle: Stuk... puk! Stuk... puk! - ktoś zapukał. W pierwszej chwili wydawało się jej, że to łoskot wiatru za oknem, ale pukanie powtórzyło się. Dziewczyna wyrzała przez okno, podeszła do drzwi, lecz nikogo nie spostrzegła. Usiadła i dalej cerowała. Po chwili usłyszała piosenkę:

Otwórzże mi Perelija
Otwórzże mi, śliczna miła,
Jakeś w zdroju wodę brała,
Toś ty ze mną ślubowała,
Perelija moja.
Wsadź mnie za stół,
Śliczna miła.
Dajże mi jeść, Perelija,
Dajże mi pić, śliczna miła.
Ścielże łóżko, Perelija,
Zagaś ogień, śliczna miła.

Perelija domyśliła się, kto śpiewa tę piosenkę i chociaż bardzo się bała, otworzyła drzwi. Do sieni wsunął się ni to jeź, ni to zwierz. Owiąło go miłe ciepło idące od komina i zapach świeżego chleba. W jednej chwili dziwny stwór zrzucił z siebie skórę zwierzęcą i przed

zdziwioną dziewczyną stanął dorodny junak. Perelija cofnęła się, nie wierząc własnym oczom. Młodzieniec zaś odezwał się tymi słowy:

- Byłem przez swoją lekkomyślność zaklęty w szkarłatnego zwierza. Czarownik powiedział, że odmienni mnie tylko wtedy, gdy spotkam na swojej drodze dziewczynę, która dotrzyma obietnicy małżeństwa. To dzięki tobie, droga Perelija, stałem się znowu człowiekiem. Czy chcesz dotrzymać danej obietnicy?

Dziewczyna nie mogła wykrztusić z siebie słowa, tak była oczarowana młodzieńcem i jego nagłą przemianą.

- Czy chcesz zostać moją żoną? - powtórzył z uśmiechem.

- Tak - odrzekła Perelija i podała mu dłonie. On zaś przypadł do nich i długo, z szacunkiem całował. Potem wyprostował się i powiedział:

- Włóż teraz pierścień, dar mojej miłości - mówiąc to chciał założyć na jej smukłą rękę drogocenny podarek. Dziewczyna cofnęła się speszona.

- Ja mam już pierścionek - pamiątkę po mojej kochanej matce.

Ale młodzieniec na nic nie zważał i założył swój na palec obok pierścienia po matce.

Tak kończy się opowieść o wiernej dziewczynie i pięknym młodzieńcu. Mogę Wam tylko powiedzieć, że żyli jeszcze bardzo długo i szczęśliwie. Odtąd Perelija pracowała już we własnym gospodarstwie i wraz z mężem, zręcznym kowalem, nigdy nie zaznała biedy.

Witowt. "Wisła" tom 17 z 1903 r. ss. 549, 550.

CUDOWNE PODARKI

Opodal pewnego miasteczka na Podlasiu stała chatka maleńka. Cała już prawie się w ziemię zapadła, tak, że z niewielkich okienek nigdy nie było widać nieba i słońeczka. Ze starości była krzywa i pochylona, a na dachu mchem porośla.

W chatce mieszkała uboga wdowa. Jej dobytek - to dwa zagonki pola i ogródek chwastem zarosły. Wdowa miała syna jedynaka, bardzo go kochała i całym sercem pragnęła zebrać dla niego trochę majątku. W domu jednak, aż bieda piszczała i wszystkie starania wdowy nie na wiele się zdały. Co tylko parę groszy u dobrych ludzi zaoszczędzi, już je musi wydać na jadło i przyodziewek i nigdy nie zostaje więcej niż trzy grosze. Tymczasem synek rósł zdrowo, a gdy miał już trzynaście lat, matka tylko te trzy grosiki chowała dla niego w skrzyni.

Pewnego wiosennego dnia tak mówi do niego:

- Nie mogę ci więcej dać niż trzy grosze i błogosławieństwo na drogę. Weź pieniądze i idź w świat. Pamiętaj, że ciężko musiałam na nie pracować. Sam może łatwiej czegoś się dorobisz.

Chłopiec pokłonił się matce, ucałował spracowaną rękę, pieniądze schował do węzełka i poszedł.

Wędrował przez pola, łąki i lasy. Rozglądał się dokoła ciekawie. Gdy tylko gwiazdy zeszły z nieba, rozmawiał ze słońkiem i ptakami, a wieczorem skarżył się księżycowi na swoją niedolę.

W końcu przywędrował do miasta i myśli, co by tu sobie kupić? Z głodu aż kiszki marsza grają, przyodzie-

wiek ledwie się trzyma kupy, ale co można za trzy grosze dostać? Kupił więc jedną jedyną świecę i pieniądze się skończyły. Chodził głodny od kramu do kramu, oglądał towary wystawione przez kupców. Nie mógł jednak znaleźć ani współczucia, ani zarobku. Nie bacząc więc na zmęczenie ruszył w dalszą drogę.

Miało się już dobrze na wieczór, gdy przy gościńcu ujrzał starą karcznię. Postanowił w niej przenocować. Wchodzi do głównej izby i widzi, że jest pusta, tylko na ścianie wiszą jakieś dwa portrety. Obszedł wszystkie cztery gołe kąty, przełamał kupioną świecę na dwoje, jeden kawałek postawił przed jednym portretem, drugi zapalił przed drugim, potem wlaź na piec, położył się i zasnął. W karczmie zaległa cisza, słychać było tylko cykanie świerszczy za kominem.

Aż tu przed północą - jak nie zerwie się szum, łoskot, zawierucha taka, że strach. Chłopak przebudził się, patrzy - i widzi trzech ludzi, jak kręcą się po izbie i węszą dookoła. Przybysze poznali, że ktoś jest ukryty na piecu i wołają:

- Chodź no tu!

Chłopak zlaźł z pieca i podszedł do nich, a oni go pytają:

- Który portret wybierasz? Ten, czy tamten?

On im na to:

- Mnie tam wszystko jedno!

Ale oni nalegają:

- Powiedz, który według ciebie jest lepszy?

Lecz on znowu swoje:

- Wszystko jedno, oba są dobre!

Bardzo się ucieszyli z takiej odpowiedzi chłopca i mówią:

- No, skoroś tak mądry, to ci coś podarujemy.

Jeden dał mu złotą strzelbę, drugi skrzypce, takie, że kto je słyszy i nawet nie chce, to musi tańczyć, trzeci zaś dał mu takie buty, że jak zrobi w nich krok, to znajdzie się o kilometr dalej, a jak skoczy - to siedem. Chłopiec wziął podarunki, podziękował i poszedł.

Idzie drogą, idzie, a naprzeciw jedzie pan złoconą karetą. Wąsiska ma wielkie i sumiaste, torbę myśliwską i wysokie buty. Zobaczył chłopca i woła do niego:

- Hej, chodź no tu!

A on, przestraszony, podchodzi.

- Skąd masz taką strzelbę? - pyta pan, bo mu się bardzo ta strzelba spodobała. Może byś mi ją sprzedał? Dobrze ci za nią zapłacę.

- O nie, to podarunek - odpowiada chłopak - za nic jej nie sprzedam.

- Jeśli nie chcesz sprzedać, to musisz mi ją dać - mówi pan kategorycznie. Lecz prośby i nakazy pana nie dają rezultatu. Chłopak uparł się i nie chce o niczym słyszeć.

- A czy ona dobrze strzela? - pyta z uporem pan.

- Strzel do tego orła, który kołuje wysoko w górze nad nami.

Chłopak szybko wycelował, strzelił - trafił! Orzeł kilkakrotnie zakoziołkował w powietrzu i zaczął spadać, aż upadł w sam środek gęstych zarośli. Pan chciał zabrać tego orła, ale cóż stangreta nie mógł pośłać, bo konie były narowiste i płochliwe, sam by ich nie utrzymał. Trudna rada, trzeba wysiąść z karety i iść samemu. Tak też pan zrobił. Poprawił torbę myśliwską i poszedł sam.

Tymczasem chłopak wyjął skrzypce, nastroił je i zaczął grać. Stangret usłyszawszy muzykę podryguje z ochotą. Również konie zaczynają tańczyć. Coraz trudniej je utrzymać. Musi więc stangret zeskoczyć z kozła na ziemię. Jedną ręką chwytą za uzdę jednego, drugą drugiego i tańczy jak tylko potrafi.

A echo niesie muzykę szeroko po polach, łąkach, drogach i rozstajach. W lesie tańczą wszystkie zwierzęta i ptaki. Tańczy także i pan w krzakach tarniny, nawet o orle zapomniał. Wreszcie grajek się zmęczył i grać przestał. Zrobił jeden krok w swoich butach - już jest kilometr dalej, zrobił drugi - już dwa, a jak skoczył to już siedem kilometrów.

Pan nie znalazł orła w krzakach i do tego jeszcze podarł kosztowne ubranie, poszarpał je na ostrych kolcach tarniny, pokaleczył się i tak wyczerpał tańcem, że o własnych siłach nie mógł dojść do powozu. Zaś po powrocie do pałacu obłożnie się rozchorował.

Minęło sporo czasu, może rok, może dwa, a może pięć. Chłopak dalej wędrował po świecie, aż przyszedł do dworu owego pana. Spotkał lokaja i mówi:

- Jestem wędrownym grajkiem, muzyka moja odpędza smutek i wszelką chorobę.

Lokaj pobiegł do pana i po chwili wprowadził chłopca na pokoje. Wchodzi i widzi, że pan leży w łóżku w puchowej pościeli. Poznał od razu chłopaka i krzyczy:

- Ach to ty? Czekaj, już ja ci dam!

Zawołał służbę i rozkazał go związać i wtrącić do więzienia. Trudna rada, jak pan każe sługa musi. Chwycili go, związali, odebrali strzelbę, zostawili tylko buty i skrzypce.

Siedzi chłopiec w więzieniu i czeka na sąd. Smętnie spogląda przez zakratowane okienko, matkę swoją wspomina.

Tymczasem do zamku przyjeżdżają bogaci panowie w karetach zaprzężonych w wypasione konie. Wysiadają z nich pięknie ufryzowane panny i szykowni kawalerowie. To pan wyprawił bal, na który przyjechało mnóstwo zaproszonych gości. Przy stole głośno opowiadał wszystkim, co mu się przydarzyło i o tym, że ma teraz tego grajka w więzieniu. Goście usłyszawszy opowieść zaczęli prosić gospodarza, aby kazał przyprowadzić owego chłopca do sali. Więc służba przyprowadziła grajka.

- O, to ten nicpoń tak grał, że musiałem tańczyć, aż się pokaleczyłem. Trzeba go ukarać! - krzyczy pan.

Goście na to:

- Dobrze, możemy go osądzić, tylko niech najpierw zagrał

Pan tłumaczy gościom:

- Nie będzie grał, bo jeśli zagra, będę musiał tańczyć i ducha wyzionę!

Goście byli w wybornych humorach, więc zaczęli się śmiać i dalej nalegać, żeby jednak grał. A pan nic, tylko swoje.

Widząc jednak, że na upór gości nie ma lekarstwa, pozwolił:

- Niech już gra, tylko przywiążcie mnie do łóżka linami, żebym się nawet nie mógł ruszyć.

Śludzy przynieśli powrozy i związali nimi pana tak, jak im przykazał.

- No teraz może zagrać - zgodził się.

Chłopcowi nie trzeba było mówić tego dwa razy. Wciągnął na gołe stopy podarowane buty. Chwycił skrzypce i smyczek i jak nie zaczął grać! A panowie

i panie jak nie zaczęły tańczyć - aż sala jęczy. Połamali i zniszczyli wszystko, co im tylko na drodze stało: stoły, ławy, krzesła, i nic, tylko tańczą jak wichry splątane. A grajek gra dalej i gra. Pan na swoim łóżku tak zaczął podskakiwać, że aż trzeszczało. Udało mu się jakoś uwolnić jedną nogę z powrozów, wysunął ją na podłogę i tupie: tup, tup, tup.

Przy tym powtarza w kółko:

- A ja grać nie kazałem! A ja grać nie kazałem!

Wreszcie chłopcu znudziło się to granie, widzi że panowie i panie ledwie zipią z wysiłku. Oczy mają wytrzeszczone, ręce spocone, a nogami już tylko przebiegają. Chwycił z rąk lokaja swoją strzelbę, stąpnął raz - już kilometr, skoczył raz drugi - już siedem kilometrów. I uciekł.

Witowł. Gadki z Ostrówka "Wisła" tom 19 z 1905 r., ss. 293-296.

SZEWEC I JĘZYKI

W podlaskiej, zabitej deskami mieścinie żył sobie pracowity szewc. Klepał buty przez wszystkie dni tygodnia, nawet w sobotę wieczorem, a gdy trzeba było, to i do północy. W niedzielę zaś pił na umór, jak to zwykle szewcy czynią.

Pewnego razu, a było to latem w sobotę, pracował przy otwartym oknie. Powietrze było ciężkie i pewnością miało się na burzę. Pot lał mu się strumieniami z twarzy, tak było duszno. Zamówień na nowe buty miał dużo, a i obietnice reperacji zbiegły się jak na złość. Tedy wzdychał tylko ciężko i nie bacząc na zmęczenie zwijał się jak w ukropie.

Aż tu gdzieś koło północy przyszło coś i stanęło pod oknem - człowiek nie człowiek, zwierz nie zwierz, paszczę rozwarło, a język wysunęło na brodę. Szewc jak to zobaczył, tak się przestraszył, że porwał nóż i temu strasydłu uciął język. A ono nic, patrzy tylko i stoi. Tak on znów tnie nożem po języku, a ono dalej stoi. Kawałki języka padają na podłogę, szewc rąbie dalej z całej siły, a od potu prawie na oczy nie widzi.

Nagle zerwała się wielka wichura i lunął rżęsiasty deszcz. Widmo zachichotało i znikło. Szewc przestraszył się bardzo, bo to tylko siły nieczyste tak znikają. Zamknął więc okno i poszedł spać.

Po ciężkiej nocy wstaje i nie wierzy własnym oczom. Zydół przewrócony, nóż złamany na podłodze, buty porozrzucone po czterech kątach izby, a do tego każdy but ma ucięty język. Chwycił się szewc za głowę i głośno zapłakał. Robotę trzeba było zaczynać od

nowa.

Od tego czasu szewcy w soboty nie pracują, tylko przyklejają języki w obuwiu.

Podanie ze wsi Ostrówki zapisał Witowt. "Wisła" 1904 r. t. 18 s. 330.

O CHYTRYM CHŁOPIE, KTÓRY PŁATAŁ FIGLE ZWIERZĘTOM

Pewien chłop miał pastę i granizastę wół, które bardzo ciężko pracowały w polu. Gospodarz dbał o nie jak o własne dzieci, więc mimo narówki na roli wygłady dostawał i pięknie. Skórka nie była wleciała się jak mowa.

Kiedy chłop poszedł spać, przychodził do niego wilk i mówił:

- Ładne masz wół, pastę i granizastę!

- A do tego jest tak wyjątkowo - mówił chłop.

- Jesteś ty, mnie mógł tak wystąpić - prosił wilk.

- A nie, prosił, chwila, to będzie z wolami do chłapy.

- Toż się do domu wiesz, ciębie i daj wilka strcić. A strci go tak, że mu krawiec ogarni siebie. Wilk jęczy i wyje, a chłop wycina mu skórę gasy i łaty. Po wszystkim pisał, że się zajął wilkiem, zobaczył swoje odbicie i wolał się do gospodarza.

- Twoje wół są takie piękne i ładne, a ja jestem cały czarny.

- No to się wyje, a będziesz jak i moje wół.

- A czym ja się będę łakował? - zapytał wilk.

- Biegnij w najgłębsze łąkowie i tarzaj się mocno, to się wygoisz.

Jak chłop poradził, tak wilk zrobił. Poleciał do lasu, znalazł wysokie łąkowie, zaczął się tarzć i głośno z bólu wyć, aż się niosło po lesie. Nagle przypiecha do niego zając i pyta:

O CHYTRYM CHŁOPIE, KTÓRY PŁATAŁ FIGLE ZWIERZĘTOM

Pewien chłop miał pstre i graniaste woły, które bardzo ciężko pracowały w polu. Gospodarz dbał o nie jak o własne dzieci, więc mimo harówki na roli wyglądały dostatnio i pięknie. Skóra na nich świeciła się jak malowana.

Kiedy chłop poszedł orać, przychodzi do niego wilk i mówi:

- Ładne masz woły, pstre i graniaste!
- A bo to ja sam je tak wystroiłem - chwali się chłop.
- Żebyś ty i mnie mógł tak wystroić - prosi wilk.
- Ano, poczekaj chwilę, aż dojdę z wołami do chałupy.

Przyszedł do domu, wziął siekierę i dalej wilka stroić. A stroi go tak, że mu krew strugami cieknie. Wilk jęczy i wyje, a chłop wycina mu siekierą pasy i łaty. Po wszystkim przejrzał się żarłok w studni, zobaczył swoje odbicie i zwraca się do gospodarza:

- Twoje woły są takie graniaste i ładne, a ja jestem cały czerwony.
- No to się wylekuj, a będziesz jak i moje woły.
- A czym ja się będę lekował? - zapytał wilk.
- Biegnij w najtęższe jałowce i tarzaj się mocno, to się wygoisz.

Jak chłop poradził, tak wilk zrobił. Poleciał do lasu, znalazł wysokie jałowce, zaczął się tarzać i głośno z bólu wyć, aż się niosło po lesie. Nagle przybiega do niego zając i pyta:



- Cóż wy, stryju, jesteście tak okaleczeni i jucha wam z boków cieknie? - A to tamten chłop, co w polu orze, tak zrobił, abym był ładny, tak jak jego woły - wyjęczało wilczyisko.

- Oj, bieda stryju, bieda - powiada zając - lecz zbytnio się nie martw, ja mu woły wystraszę, to do lasu przylecą, to wy podjecie i ja coś dostanę.

Pokicał zając na pole, usiadł na skibie ziemi i czeka. Chłop batem woły poganiał, one ciągną pług i wcale nie zwracają uwagi na zająca.

W pewnej chwili szarak się zagapił i woły złamały mu łapę. Wraca więc do wilka, jęczy, utyka na nogę i mówi:

- Stryju mnie też spotkało nieszczęście.

Siedzą więc obaj zasmuceni i markotni. Aż tu nagle przylatuje bąk i pyta:

- Czym się trapiacie przyjaciele?

- Ano chłop mnie tak urządził, że już chyba ducha wyzionę - wyznał wilk.

- A mnie boli złamana łapa - ledwie wyszeptał zając.

- Ja mu zaraz pokażę - zabuczał bąk groźnym głosem.

- Lecę do chłopca, wystraszę mu woły, wy je podusicie, podjecie sobie, a i ja coś dostanę.

Jak powiedział, tak i zrobił. Lata bąk koło wołów, siada na ich grzbietach, ale woły zamasyście machają ogonami i odpędzają natręciucha. W końcu bąk się zdenerwował:

- Ja wam teraz pokażę, niech no tylko naostrzę żądełko!

Siadł sobie na uprzęży, żądełko ostrzy, chłop go jednak zobaczył, zdjął z głowy czapkę i szybko przykrył nią bąka. Na nic nie zdały się prośby schwytanego. Chłop był nieugięty.

I tak oto prosty gospodarz przechytrył przebiegłego wilka, który chyba zrozumiał, że noszenie własnej skóry, choćby najbrzydszej, jest lepsze niż strojenie się w cudzą.

- A czym ja się będę tkował? - zapytał wilk.

- Biegnij w najcieplejsze miejsce - powiedział chłop.

Wygolił.

Jak chłop poradził, tak wilk zrobił. Poleciał do lasu, znalazł wysokie jalewca, zaczął się tarzać i głośno z bólu wyć, aż się niosło po lesie. Nagle przybiega do niego zając i pyta:

Zapisał Witowt. "Wisła" 1904 r. t. 18 ss. 534, 535

CZARNA RÓŻA

Bardzo dawno temu w niewielkim miasteczku, otoczonym trzema rzekami, żyli dwaj bracia.

Jeden z nich był bogaty, drugi biedny. Bogaty i chytry mieszkał w kamienicy, a biedny w mizernej chatce, z dala od rynku, nad rzeką Krzną. Mijało już dwa razy po trzy lata, może i więcej, a bogaty brat nie przekroczył progu domostwa biedaka. Nawet o nim zapomniał, bo myślał tylko o swoim bogactwie.

Aż tu któregoś dnia w miasteczku gruchnęła wiadomość, że pan na Zamczysku potrzebuje ogrodnika do pielęgnowania parku. Wieść o tym rozeszła się lotem błyskawicy. Pod zamkiem zebrał się tłum. Wszyscy chcieli otrzymać pracę, gdyż nikomu się nie przelewało. Biedny brat był tak wycieńczony z głodu, że zatrzymał się z boku i potulnie czekał.

Nagle z trzaskiem otworzyły się wielkie kute w żelazie wrota. Stanął w nich pan w stroju ociekającym złotem. Rozejrzał się wokół i wskazując ręką na biednego brata powiedział:

- Widzę, że tyś biedny, skromny i cierpliwy, zostaniesz u mnie ogrodnikiem.

On zaś rzucił mu się do nóg dziękować, ale pan podniósł go, kazał służbie przyodziać, nakarmić i wprowadzić do zamku.

Od tej pory życie biedaka i jego rodziny odmieniło się. Kiedy usłyszał o tym bogaty brat, aż skręcał się ze złości.

Pewnego razu pan wezwał ogrodnika do siebie i mówi:

- Cóż wy, stryju, jesteście tak okaleczeni i jucha wam z boków cieknie? - A to tamten chłop, co w polu orze, tak zrobił, abym był ładny, tak jak jego woły - wyjeżdżało wilczysko.

- Oj, bieda stryju, bieda - powiada zając - lecz zbyttno się nie martw, ja mu woły wystraszę, to do lasu przybiega, to wy podjeście i ja coś dostanę.

Pokicał zając na pola, siedzi na skraju ziemi i czeka. Chłop batem woły pędzi, on na skraju pługu i wcale nie zwraca na niego uwagi.

W pewnej chwili zając się karsza i łapaga się za nogi mu łapę. Wraca od niego wilk, jęknął i zagonił go.

- Stryju mnie też okaleczył - mówi zając - Siedzą więc obaj zając i wilk.

Prosił ich o pomoc, ale oni nie mogli im pomóc.

- Czemu? - pyta zając - Bo oni sami są okaleczeni.

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!

Wtedy zając powiedział do wilka: - Bieda, bieda, bieda!



- Masz tu nasionko, spulchnij ziemię w parku, włóż je do ziemi głęboko, podlej i pilnuj jak oka w głowie. Kiedy wyrośnie roślina, masz o nią dbać jak o własne dzieci. W przeciwnym razie miejsca u mnie nie zagrzejesz, a i zarobek stracisz.

Biedak wziął w dłonie delikatne nasionko i poszedł wykonać polecenie pana.

Minęło trochę czasu, może jeszcze więcej, gdy w miejscu, gdzie ogrodnik wsadził nasionko wystrzeliła najpierw wątła, zielona roślinka. Od razu zaczęła szybko rosnąć. W południe słońeczko ogrzewało ją swoimi promyczkami, wieczorami zaś podlewał rześisty deszyk. Z dnia na dzień rozrastała się, pokrywała zielonymi listkami, aż kiedyś o północy, przepięknie zakwitła. Widać dobrze się nią opiekował, bo z niewielkiej roślinki wyrosła na dorodny krzew róży.

Dziwili się dworzanie, że była pokryta cudnym, czarnym kwiatem i do tego nie miała kolców. Od razu się widziało, że była to niezwykła róża.

Do zamku zaczęli zjeżdżać bogaci goście z różnych stron świata. Za wszelką cenę chcieli podziwiać cud natury - czarną różę bez kolców. Do parku przychodzili także mieszkańcy małego miasteczka. Orodnik miał pełne ręce roboty. Oprawdzał, odpowiadał na pytania, pokazywał wyhodowaną różę. Nawet bogaty brat z zazdrością spoglądał teraz na biedaka.

Pewnego dnia, kiedy róża już wszystkim spowszedniała i zaczęła więdnąć, zmęczony ogrodnik usiadł obok niej. Patrzy i własnym oczom nie wierzy. Oto z czarnej róży wychyla się srebrny żuk i mówi ludzkim głosem:

- Za to, że tak dbałeś o czarną różę, spełnię twoje jedno życzenie.

Biedny brat rozejrzał się wokół czy ktoś tego nie słyszał, pochylił się nad żukiem i odparł:

- Zgoda.

Wtedy srebrny żuk powiada:

- Chwyć mnie, ukryj głęboko w kieszeni, a od tej pory będziesz miał w życiu szczęście.

Następnego dnia ogrodnik podziękował panu za pracę i wrócił z żukiem do swojej chatki nad Krzną.

I stało się tak, jak powiedział żuk. Biedak otrzymał pracę w pobliskim lesie, a rodzinie nie zagrażał już głód.

Dzieci odzyskały radość życia, żona miała teraz ręce pełne roboty. Trzeba było bowiem karmić prosięta, doić krowy i doglądać całego gospodarstwa.

Minęło trochę lat, a biedny brat stał się gospodarzem całą gębą. Wieczorami siadał przed chałupą i zaglądał do skrzyni, w której trzymał srebrnego żuka. Lecz pewnego dnia żuk znikł ze skrzyni, a na jego miejscu pozostała zasuszona czarna róża. Wtedy cała rodzina pojęła, komu zawdzięcza szczęście. Pracy i czarnej róży, która zakwitła dzięki wysiłkowi w pocie czoła.

Nawet bogaty brat, bardzo markotny, rad nie rad musiał zrozumieć, że pracą ludzie się bogacą, a chytrość nie zdaje się na nic. Od tego czasu bracia żyli ze sobą w zgodzie.

Opowiadał: Czesław Goławski z Międzyrzecza Podl. - 1968 r.

SPRYTNY PIECUCH

Działo się to nie wiadomo gdzie i kiedy. Pewnie gdzieś za siedmioma lasami i siedmioma górami, w krainie, w której słońce świeciło jak chciało, wstawało o różnych porach i kładło się spać według własnego uznania.

W takim to dziwnym kraju było malutkie królestwo, a w tym królestwie rządził bardzo smutny król. Powodem jego troski i zmartwień była córka, którą już od paru lat więził straszny i wielki lew. Zamykał ją w ogromnej i niedostępnej pieczarze, której sam strzegł dniem i nocą.

Zrozpaczony król ogłosił, że kto wyrwie z pazurów lwa jego ukochaną córkę, zostanie zięciem królewskim, a także otrzyma nieprzebrane bogactwa.

Wielu śmiazków przybywało na wezwania króla, wielu też walczyło ze strasznym lwem, ale nikomu nie udało się go pokonać. Dla jednych dzień był na to za krótki, dla innych zbyt długa była noc.

Aż postanowił spróbować szczęścia sprytny Piecuch, który dotąd całymi dniami lubił wylegiwać się na piecu. Doszło nawet do tego, że nie wiedział kiedy jest dzień, a kiedy szarówka. Nudził się więc bardzo, ale że miał dobre serce, postanowił ratować królowną.

Nie ociągał się zbyt długo i wybrał w drogę. Idzie, idzie i wydaje mu się, że drogi zamiast ubywać - przybywa, ale że spał dobrze całą noc, nie czuje zmęczenia. W pewnej chwili na ścieżce zobaczył skrzypce. Wziął je więc i wędruje dalej. Uszedł prawie parę kroków i widzi płachtę, w niej drobne kamienie. - Wezmę - myśli

- może się przyda. Uszedł jeszcze parę kroków i znalazł węzełek, a w nim orzechy. Z dalszej drogi zabrał ze sobą jeszcze bat i klin murarski. Szedł tak jeszcze dość długo i nagle znalazł się oko w oko ze strasznym lwem.

- Stój no, coś ty za chwat?

Piecuch nic nie mówi do lwa, tylko wyjmuje orzechy i zaczyna sobie gryźć. A lew pyta:

- Co ty gryziesz?

- Orzechy.

- A czy to dobre? - pyta dalej lew.

- Masz, skosztuj - zachęca Piecuch i daje mu kamienie. Lew gryzie i gryzie - i nie może ugryźć.

- To ty możesz zgryźć orzechy, a ja nie mogę? - pyta znowu lew.

Wtedy Piecuch krzyczy:

- Ja jestem mocniejszy!

Potem wyciąga skrzypce i zaczyna grać. Lew słucha i słucha, w końcu powiada:

- A może i mnie nauczyłbyś grać?

Wtedy on mówi:

- Za grube masz palce, ale jakby je trochę ściąć, to i ty będziesz grał.

- A jakże się je ścina? - nie ustępuje lew.

- Podejdź tu do słupa, to ci pokażę - wsadź palce w tę szczelinę - tłumaczy Piecuch.

Lew bezmyślnie wykonał polecenie. A chłopak przy pomocy klina mocno ścisnął łapy zwierza i zaczął go bić batem.

Lew, choć był mocny i wytrzymały, jak przystoi na króla zwierząt, zaczął strasznie ryczeć i wić się z bólu.

- Puść mnie, uwolnij, a uczynię co zechcesz - wołał ze łzami w oczach.

- Chcę dostać się do królowny, musisz mnie wziąć pod opiekę i strzec od wszystkiego złego - powiedział Piecuch.

- Dobrze, zgoda - mówi lew - tylko mnie wypuść.

Piecuch nie dał się długo prosić i uwolnił lwa z pułapki. Zadowolony król zwierząt zaprowadził młodzieńca do swojej kryjówki, pościelił mu łóżko i zaproponował wypoczynek. Lotem błyskawicy rozeszła się pogłoska, że lew został pokonany, a królowna odzyskała wolność.

Król bardzo się ucieszył i postanowił zobaczyć swe

go przyszłego zięcia. Wybrał się do pieczary lwa i stanął u wejścia:

- Otwórz!

Wtedy lew powiada:

- Cicho, bo mój pan śpi.

- Pan, jaki pan? - ze zdumieniem pyta król.

- Nie budź go, bo on jest mocny, mocniejszy nawet ode mnie.

- Ja wejść cichutko, nikogo nie obudzę - odparł król zaskoczony tym, że lew jeszcze żyje.

Wpuszczony do kryjówki obejrzał śpiącego Piecucha, który wydał mu się szkaradny, oberwany i brudny. Nie chciał mieć takiego zięcia, wiedział jednak, że musi dotrzymać obietnicy, tym bardziej, że ten oto młodzian jego córce bardzo przypadł do gustu. Namawiał nawet lwa do zdrady i zabójstwa Piecucha, ale zwierzę pomny swojej klęski najpierw nie zgodził się. Kiedy jednak król nalegał obaj zaczęli obmyślać plany zabójstwa. Wtedy Piecuch porwał królowną i w pobliskiej kaplicy wziął z nią ślub.

Tak więc wszystko skończyło się szczęśliwie, król musiał pogodzić się z losem. Młodzi żyli długo i dobrze im się powodziło. Lew całkiem spokorniał, doszło do tego, że bał się nawet myszy. Na starość bawił się z dziećmi królowny i Piecucha.

Witowt. "Wisła" 1940 r. t. 18 s. 535 (opowiadał Szymek Cygan z Olszewnicy. 1895 r.)

LOS KOWALA

Był sobie kowal pijak. Swoją rogatą duszę zaprzedał złym duchom. Pił tak dużo, że zapominał o dzieciach i żonie, nie wracał do domu, a najwięcej czasu przebywał w karczmie w otoczeniu najczęściej podejrzanых osobników.

Pewnego razu, gdy szedł napić się okowity, spotkał Pana Jezusa ze swoimi uczniami. Stropił się bardzo, gdy jeden z nich zapytał:

- Czy mógłbyś nas przyjąć na nocleg?

Wiedział nasz kowal, że w domu się nie przelewa, a rodzina często jest głodna, ale odpowiedział:

- Czemu nie, mogę, bo godzi się każdego ugościć.

Przyprowadził wszystkich do domu i prosi żonę, aby gotowała wieczerzę. A ona mówi:

- W komorze pustki, w beczce widać dno, nie mam z czego przygotować posiłku.

Słyszac to kowal zaczął prosić:

- Daj parę worczków, to ci przyniosę kaszy i maki.

Gdy żona je przyniosła, wybiegł szybko z domu, by u sąsiadów zaciągnąć pożyczkę, jak zwykle na kredyt.

W tym czasie w domu kowala stał się cud. Żona wsypała do sagana ostatnią garsteczkę kaszy i ugniotła ciasta z garsteczki maki. Wszystko to w cudowny sposób urosło i narosło. Nakładali więc goście do misek ile tylko chcieli. Szczerze popodjadali, a potem poszli na nocleg. Przychodzi kowal, patrzy, a tu wszyscy smacznie śpią i chrapią, aż się trzęsie cała chałupa. Na drugi dzień, gdy tylko pokazało się słońko, wstają i już mają odchodzić, gdy Pan Jezus pyta kowala:

- Co dać ci za nocleg i gościnę?

A on mówi:

- Nic nie chcę.

- Jak to nic - pyta zdumiony Jezusiczek. - Może potrzebujesz nieba?

Wtedy kowal krzyczy:

- Jak mi będzie trzeba, to i sam tam zajdę.

Nic się nie nauczył kowal - pijaczyna. Dalej pił. Chodził do karczmy, wszczynał awantury i zapominał o rodzinie.

Aż tu pewnego dnia przylatuje zły duch, który spisał umowę z kowalem o duszę i nagli go do piekła.

- Niech sobie pan siądzie na gruszy - zachęca ducha - ja przez ten czas porachuję się z dłużnikami. Posłuchał duch obietnicy i czeka. Nie wie, że kowal siedzi za stołem w karczmie, smakuje okowitę i o nim już zapomniął. Siedzi do północy, przyrósł do gruszy, a rano musiał ją zabrać ze sobą.

Na drugą noc przylatuje inny duch i chce brać kowala ze sobą.

- Siadaj na słupie pod oknem - proponuje przebiegły kowal - czekaj aż sprzedam pole. Duch siedzi, cierpliwie czeka, a spryciarza nie ma. Przyrósł już biedaczysko do słupa. Przyszła północ i duch ze słupem wynosi się jak niepyszny.

Na trzecią noc przyleciał następny i też chce porwać kowala.

- Niech pan siądzie na tym kamieniu - zaprasza nasz bohater - idę zobaczyć się i pożegnać z żoną, dziećmi i krewnymi. Duch uwierzył, a kowal poszedł znów do karczmy. Nadeszła północ zapiał kogut i duch z przyrośniętym kamieniem musiał uciekać do swoich. Wybiegał się na ziemię jeszcze czwarty duch, ale Lucyper mówi:

- Nie idź, bo go nie weźmiesz, wytłucze nam całe piekło.

Ale tak jak każdemu i naszemu kowalowi przyszedł czas odejścia z tego świata. Prosi więc rodzinę o fajkę i dubeltówkę. Przed śmiercią nie można nikomu niczego odmawiać. I tak też się stało.

Wtedy to przyleciał czwarty duch i powiada:

- Zaopiekuję się tobą w drodze.

Idą więc sobie obaj, nawet nie jest im markotno.

Kowal podśpiewuje, co pewien czas nabija fajkę i pali z lubością. Duch zaczyna się obliżywać łakomie i prosi:

- Daj mi trochę popalić.

- Dobrze, dam ci, ale inną fajkę.

Mówiąc to nabił dubeltówkę i dał duchowi. Ten nie bacząc na nic naciska kurek, raniąc się okropnie.

Tak się skończyło diabelskie palenie. Uciekł w płochu do piekła, ale mu bramę zawarto przed nosem. Do piekła nie wpuszczono także kowala. Na wszystkie złe duchy padł blady strach. Wtedy kowal poszedł dalej i zaszedł do bram niebieskich.

- Czego chcesz? - pyta się go Święty Piotr. - Nieba? Skruszony odparł twierdząco.

- Zapytam Pana Jezusa - mówił dalej stary klucznik.

Wtedy Pan Jezus powiedział, by go wpuścić. I tak się stało.

Gadka z Ostrówka, Witów. "Wisła" 1905, tom 19



SPIS TREŚCI

Wstęp	5
Zmyślny Bartek	7
Król węży i zamawiacz	9
Organy - samograje	13
Dziewczyna o złotych kędziorach	15
Prawda i Krzywda	19
Gdzieżeś się podział czarny baranie	23
O pracowitej Marysi i leniwej Hance	27
Dwa pierścienie	32
Cudowne podarki	35
Szewc i języki	40
O chytrym chłopie, który płał figle zwierzętom ...	42
Czarna róża	45
Sprytny Piecuch	49
Los kowala	52

